

Everest, czyli igraszki ze śmiercią



Tekst i zdjęcia Zbigniew Bąk

Himalaizm swoimi regułami podobny jest do boksu lub działań partyzanckich: doskok, uderzenie i odskok. Ktokolwiek zrobi za szybko krok lub spóźni się ze swoimi poczynaniami choć o moment, ryzykuje nokautem i porażką.

S poglądam w oczy pana Ho, wspinacza z Tajwanu, który razem z nami podjął się trudnego ataku szczytowego na Mount Everest (8848 m n.p.m.). Są pełne rezygnacji i zwątpienia. Cały blask życia uleciał gdzieś bezpowrotnie. Sonam, jego Szerpa, a mój przyjaciel, próbuje coś mu powiedzieć, ale nic do niego nie dociera. Nic dziwnego, bo jesteśmy na wysokości 8750 m n.p.m. Całonocna, wycieńczająca wspinaczka, poprzedzona wielodniowym wysiłkiem otepiła jego umysł i ciało. Tkwi tu niczym słup soli jak jego poprzednicy, którzy w ostatnim śnie zamarli na wieki. Czy potrafimy go wyszarpać z tego marazmu i odrętwienia? Czy jest w stanie podjąć walkę o swoje życie i zmusi jesz-

Po bezsennej nocy i wielu kontrolach, którym celnicy poddawali nasz sprzęt radio-elektroniczny podczas odprawy w Delhi, lądujemy nareszcie w Katmandu – stolicy Nepału i Himalajów. To stąd rusza większość wypraw w góry najwyższe. Ani Staszek Budny, ani Magda Prask, ani ja nie jesteśmy jednak zmęczeni, bo emocje, które ciągle nam towarzyszą podczas wyprawy, pozwalają zapomnieć o trudach podróży. Na lotnisku wita nas Kriskhna, pracownik agencji Monterosa, która zapewni nam obsługę podczas całej naszej ekspedycji. Kwaterujemy się w hotelu Manang w Thamelu – turystycznym dzielnicy

W następnych dniach odbieramy cargo z naszym alpinistycznym sprzętem, sprawdzamy w agencji ekwipunek, z którego będziemy korzystali powyżej bazy wysuniętej, oraz kupujemy jedzenie, gaz i resztę sprzętu, potrzebnego do wysokogórskiej akcji. Gdy oczekujemy na otwarcie granicy z Chinami, odwiedza nas Jeran Shrestha, który pracuje dla legendarnej Miss Elizabeth Hawley. Ta sędziwa dziś kobieta była przed laty reporterka

Na ostatnim spotkaniu przed wyprawą poznajemy naszego kucharza Lila. Nie mówi dobrze po angielsku, ale za to podobno robi świetne spaghetti, co potwierdza Luigi, który był z nim na wyprawie w zeszłym roku.

[illegible]

Wczesne śniadanie i ruszamy dalej w drogę do Base Campu na 5150 m n.p.m. Krajobraz jest isticie marsjański. Przed nami tylko skały, kamienie i niesiony przez wiatry piach. Mijamy po lewej buddyjski klasztor Rongbuk i w końcu dojeżdżamy do bramy bazy, gdzie stacjonuje chiński oddział wojskowych. Poznajemy naszego drugiego kucharza Duderasa i jego pomocników tybetańskiego pochodzenia – Pasanga i Damdiego. Przy rozpakowywaniu bagaży popadamy w lekki konflikt z żołnierzem, który reaguje bardzo nerwowo, gdy próbuje-

Ruszamy do Tingri na 4300 m n.p.m. piękną, asfaltową drogą. Przekonujemy się na własne oczy, że Chiny nie żałują pieniędzy na infrastrukturę. Widać to było choćby podczas igrzysk olimpijskich w Pekinie. Widzimy to także w wysokich górach. Mi-

Kolejny dzień wita nas słońcem i delikatnym wiatrem. Patrzymy na nasz wymarzony szczyt, gdzie silny wiatr porywa tumany śniegu, tworząc efektowny pióropusz. Według naszych prognoz, które dostajemy z Polski, na szczycie jest mi-



AAAAAAAAAAAAAAAA

nus 30 stopni Celsjusza i wieje z prędkością 135 km/h. W samym obozie przybywa coraz więcej namiotów z innych ekspedycji.

– W zeszłym roku późno otworzono granicę dla wspinaczy od strony Tybetu, bo w 2008 roku podczas wnoszenia znicza olimpijskiego zginęło kilkunastu chińskich alpinistów i trzeba było zabrać ciała, które leżały na drodze do szczytu – mówi nam jeden z przewodników.

Wreszcie nadchodzi dzień, w którym ruszamy dalej. Nasz ekwipunek ładujemy na jaki. Te długowłose zwierzęta ważące około tony są tu niezastąpione. Dają mięso, ser, skórę i wełnę, z których miejscowi wyrabiają obuwie, ubrania, koce i namioty. Ba, nawet łajno używane jest jako opał, bo bardzo długo utrzymuje żar. O transportowych właściwościach nie wspomnę. Całego naszego wyposażenia jest ponad półtorej tony. Jesz-

cze ostatnie pokrzykiwania, podciągnięcia popręgów i wreszcie wyruszamy do Middle Campu na 5800 m n.p.m. – obozu pośredniego między bazą główną BC a obozem wysuniętym ABC. Dochodzimy na miejsce w dość dobrym czasie, ale nasze jaki są daleko w tyle, więc korzystamy z gościnności chińskiej ekspedycji i w jej namiocie kuchennym prześiadujemy zimny i wietrzny wieczór. Chińczycy częstują nas tybetańską herbatą z dodatkiem masła, zrobionego z mleka jaków, suszonym mięsem, a nawet chińską wódką, którą pijemy z naparstków. Chcemy podziękować za gościnę i opuścić przyjazne progi, ale gospodarze nie pozwalają nam tak szybko odejść. Dopiero po wspólnej kolacji, którą ich kucharz przygotowuje na naszych oczach, pozwalają się pożegnać.

Dalszy trekking prowadzi wzdłuż niekończącego się lodowca Rongbuk, gdzie

leży baza wysunięta. Po lewej stronie mijamy efektowne seraki wielkości domów czteropiętrowych. Droga ginie wśród skał i tylko ekskrementy jaków, których tu pełno, pomagają nam ją odszukać. W końcu pojawiają się na wzgórzu pierwsze namioty chińskiej ekspedycji. Naszą bazę wysuniętą rozkładamy na wysokości 6400 m n.p.m. Przygotowujemy na tym skalistym terenie platformy pod namioty osobiste i stawiamy je w silnym wietrze. Powstaje też kuchnia. Resztę postanawiamy zrobić jutro, bo 22 kilometrów lodowca na tej wysokości dało się nam solidnie we znaki.

O poranku dalej urządzamy obóz. Powstają mesa, toaleta i rozbijamy resztę namiotów osobistych. Każdy ruch na tej wysokości to ogromny wysiłek. Podczas ośmiogodzinnego snu na tej wysokości człowiek zużywa tyle energii, ile podczas godzinnego biegu na poziomie mo-

rza. Idziemy w odwiedziny do naszych znajomych Chińczyków. Większość z nich to tak naprawdę Tybetańczycy zatrudnieni przez Chiny. Po północnej stronie Mount Everestu to oni rozdają karty. Są zupełnie innymi ludźmi niż ci, których znamy z polskich bazarów, targowisk i barów. Twardzi, ale życzliwi, zahartowani, ale gościnni i weseli.

Cała ta ekspedycja liczy ponad 60 uczestników. W oddali widzimy część grupy, która zakłada liny poręczowe na drodze do obozu I. A w obozowisku reszta gra w karty, pali papierosy, pije piwo. Jednym słowem – piknik na całego. Ale wiemy, że to tylko pozory, bo niektórzy byli już na szczycie nawet osiem razy.

Niestety, z powodu ważnych spraw rodzinnych z dalszej części wyprawy musi zrezygnować Staszek. Osłabia to nasz skromny zespół, ale wkalkulowane było to w ryzyko, jakie podjęliśmy.



AAAAAAAAAAAAAAAA

Nordcool – 28 dni do ataku szczytowego

Wynosimy namioty, gaz i jedzenie do obozu I na 7040 m n.p.m. Droga najpierw wiedzie wzdłuż skalnego osuwiska aż do tak zwanego Crampon Point, gdzie zakładamy raki. Potem idziemy przez olbrzymie, lodowe pole aż do zbocza lodowo-śnieżnej góry zaporęczowanej przez chińską ekipę, która, jak co roku, musi pierwsza zdobyć szczyt po tej stronie.

Stok o 50-70-stopniowym nachyleniu daje przedsmak dużych emocji, które dopiero przed nami. Łapczywie łykamy każdy haust powietrza tak ubogiego w potrzebny nam tlen. Każdy krok to nie tylko walka ciała z górą, ale i walka umysłu z ciałem. Zmuszenie go do jeszcze jednego wysiłku. W tym bezlitosnym dla człowieka miejscu nie mamy prawa chorować, nie możemy sobie pozwolić choćby na cień słabości. Nie ma wyboru: musimy znosić ból i cierpienie i za wszelką cenę iść do przodu. Głęboka lekcja kształtująca charakter osobnika z cywilizowanego świata.

Pokonujemy drabinę, która rozpostarta jest nad szczeliną na finiszu drogi do obozu I. Na niewielkiej, śnieżnej platformie są już zarezerwowane miejsca pod namioty dla większości ekspedycji, bo gdy sezon osiągnie tu kulminację, nie ma gdzie stopy włożyć. Topimy śnieg na wodę, tak niezbędną do prawidłowego funkcjonowania organizmu. Średnia ilość wypitych płynów w górach wysokich powinna się kształtować w okolicach czterech litrów w ciągu doby. W przeciwnym razie grożą nam odwodnienie i choroba wysokogórska, a w najgorszym wypadku śmierć.

„Wodo (...) nie jesteś niezbędna do życia: jesteś samym życiem...” – przychodzi na myśl zdanie wypowiedziane przez Antoine’a de Saint-Exupéry’ego.

Czas na regenerację organizmów. Schodzimy do Base Campu, po raz kolejny pokonując 22 kilometry lodowca Rongbuk. Tego upalnego dnia mijamy około 150 jaków, wynoszących w górę sprzęt dla ekspedycji do bazy wysuniętej oraz prawie setkę wspinaczy, którzy wyszli na aklimatyzację. Północna strona Mount Everestu dorównuje już swojej siostrze z południa, zamieniając to miejsce w całkiem dochodowy biznes. Kolejne wyjście w górę. Tym razem chcemy dojść aż do obozu II (7700 m n.p.m.). Wychodzimy do „jedyńki”, wynosząc resztę ekwipunku. Po drodze jesteśmy świadkami pierwszej tragedii. 200 metrów przed nami zawała się gigantyczny serak i schodzi lodowa lawina, która pogaża pierwsze, śmiertelne ofiary w tym sezonie. To Węgrzy. Rozpoczyna się natychmiastowa akcja ratunkowa. Niestety, udaje się uratować tylko jedną osobę. Zostają zerwane wszystkie liny poręczowe, a gigantyczne, lodowe bloki tarasują dalszą drogę. Wszyscy muszą zawrócić. Następnego dnia chiński zespół wytoczya nową drogę do obozu I i prowadzi przez nią poręczówki.

Nową drogą dochodzimy do „dwójki”. Zostawiamy tam depozyt w postaci gazu, namiotów i jedzenia. W myśl zasady – „działaj wysoko, odpoczywaj nisko” – schodzimy z powrotem do „jedyńki” na nocleg, a potem do ABC. Po paru dniach odpoczynku dowiadujemy się, że wkrótce wyrusza do ataku chińska ekipa. O tej decyzji nawet sami wspinacze dowiadują się pół godziny przed wyjściem. Wszystko trzymają w tajemnicy. Decy- ►

sierpień 2010 | **n.p.m.** | 23